



Gdy łowca staje się ofiarą...

Katarzyna Uznańska
**ZIEMIĄ WYPEŁNISZ
JEJ USTA**

KATARZYNA UZNAŃSKA
ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Natalia Szczepkowska, Robert Wieczorek

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Katarzyna Uznańska 2013-2014

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński

zdjęcie na okładce © olly / Fotolia.com

zdjęcie na okładce © peshkova / Fotolia.com

Grafika na okładce Copyright © Robert A. von Ritter

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013-2014

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-039-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Patronat medialny nad powieścią objął portal:

[Creatio Fantastica](#)



[Kup książkę](#)

Bóg umarł! Bóg nie żyje! Myśmy go zabili! Jakże się pocieszymy, mordercy nad mordercami? Najświętsze i najmożniejsze, co świat dotąd posiadał, krwią spłynęło pod naszymi nożami – kto zetrze z nas tę krew? Jakaż woda obmyć by nas mogła? Jakież uroczystości pokutne, jakież igrzyska święte będziemy musieli wynaleźć? Nie jestże wielkość tego czynu za wielka dla nas? Czyż nie musimy sami stać się bogami, by tylko zdawać się jego godnymi?

Wiedza radosna, Fryderyk Nietzsche, tłum. Leopold Staff

Ich sage euch: man muss immer noch Chaos in sich haben, um einen tanzenden Stern gebären zu können.

(Powiadam wam: trzeba mieć chaos w sobie, by urodzić tańczącą gwiazdę).

Tako rzecze Zaratustra, Fryderyk Nietzsche

Czas zabijałem, mnie dziś czas zabija.

Ryszard II, William Szekspir, tłum. Stanisław Kubiak

Prolog

Odnalezienie dziewczyny byłoby wyzwaniem nawet dla bogini, gdyby nie usłużny palec losu, który skazał Renię na pobyt przez prawie rok w tym zapomnianym przez zwykłych ludzi przybytku szaleństwa. Pewnych słów nie wypowiada się głośno, a pewne miejsca, choć wszyscy wiedzą, gdzie ich szukać, są wymazane ze świadomości, aż do czasu gdy się w nich znajdziemy.

Tak było z największym szpitalem psychiatrycznym w królewskim mieście Krakowie, nazywanym przez miejscowych Huston. Gdy nowa pacjentka trafiła na jej salę, Renia Zając była już niekwestionowaną królową oddziału. Pomogła tej zagubionej istocie w pierwszych, najgorszych dniach, kiedy dziewczyna, przywieziona wprost z bidula, głównie krzyczała, miotła się w pasach i wymiotowała na siebie, tak jakby chciała wypłuć duszę. Cóż, Reni nie obchodziła zbytnio jej dusza, za to pragnęła dziewiczego ciała nowo przybyłej. Nie musiała o nic pytać: wiedziała, że dziewczyna jest czysta jak w dniu narodzin. Tego właśnie potrzebowała, by wreszcie się wyzwolić. Najtrudniejsze było jednak przed nią. Musiała strzec zdobyczy, a przede wszystkim wydostać je obie z tego odrażającego miejsca. Nigdy wcześniej sama nie zajmowała się przygotowaniami... Ale czyż nie była boginią, przynajmniej teraz?

Rozdział II

Urodziłam się w potężnej, religijnej rodzinie z długą tradycją wspierania kościoła i walki w jego obronie. Mój dziadek, Mikołaj Zebrzydowski, wielki marszałek koronny, a potem wojewoda krakowski, był zapaleńcem we wszystkim, co robił. Po nieudanym rokoszu przeciwko królowi Zygmuntowi III Wazie całkowicie wycofał się ze świeckiego życia i zwrócił ku Bogu. Ufundował na wzór jerozolimski Kalwarię Zebrzydowską, by na ścieżkach Golgoty zgłębiać mękę Chrystusową.

Nie bardzo go pamiętam. Umarł, kiedy miałam trzy lata. Bardziej pamiętam kalwaryjskie dróżki, które w dzieciństwie służyły mi za plac zabaw, co powodowało nieustanne zgorszenie całej rodziny, a zwłaszcza ciotek zakonnic, sióstr mojego ojca, który choć także pobożny, pozwalał mi na dużo; szczególnie że mateczka zmarła w tym samym roku co dziadek. Ojciec całe życie rozbudowywał jego dzieło, wkładając w to serce i umysł. Był surowym człowiekiem, zwłaszcza dla moich braci, których wiecznie strofował i łajał, a nawet bił, gdy uznał, iż tego wymaga ich moralny rozwój. Za karę jako dzieci musieliśmy w nieskończoność odmawiać różaniec. Ojciec powtarzał, że właściwie jest to nagroda i że już teraz wypraszamy sobie drogę do nieba.

Matka jawi mi się jako świetlisty anioł. Pamiętam, jak czesała włosy przed ogromnym lustrem w alkowie; mogłam godzinami stać i patrzeć na przelewający się przez jej dłonie jedwab ciężkich splotów. Płakałam za nią bardzo, bo tak naprawdę wychowywała mnie ona, a nie mamka, co było zwyczajem w możniejszych rodzinach.

Ojciec nie wytrwał długo w żałobie i ożenił się z Ewą Katarzyną Warszycką. Macochę z początku bardzo polubiłam, była miła i często poświęcała nam, dzieciom, czas, zabierając na przejażdżki powozem albo na targ do Kalwarii. Gdy jednak

kolejny rok mijał, nie dając jej upragnionego potomka, zaczęła patrzeć na nas mniej przychylnie; a zwłaszcza na mnie, gdyż przypominałam ojcu moją zmarłą matkę i często o tym mówił przy gościach, chwając się mną i wywyższając ponad rodzeństwo.

Powiesz, że to banalna historia. Też tak czasem myślę, ale w dniu, gdy macocha oświadczyła, że idę do zakonu pod opiekę ciotki Gryzeldy vel Teresy od Świętych, pomyślałam, że po prostu umrę, jak dziadek i matka. Położyłam się wieczorem do łóżka, po długich jak na mnie modlitwach oraz generalnym rachunku sumienia, i czekałam na anioła o złotych skrzydłach, który łaskawie zanieś mnie do mamy. Miałam szesnaście lat i od ponad roku nadawałam się do macierzyństwa, ale wiara w sprawiedliwość boską i anioły nadal była we mnie potężna. O świcie jak zwykle obudził mnie codzienny rumor dobiegający z kuchennych pomieszczeń.

Było lato, ciepłe i suche. Przez szparę w kotarze wlewały się pierwsze różowe promienie. Srogo zawiedziona anielską opieszałością postanowiłam dłużej nie czekać, tym bardziej że wyjazd do klasztoru klarysek był zaplanowany na wczesne przedpołudnie. Macocha – zła na mnie za moje wiecznie podarte pończochy, wystrzępione sukienki, potłuczone kolana i inklinacje do zabaw z braćmi większe niż do modlitewnika i haftu – domyślała się chyba, jak zareaguję na próbę zamknięcia w klasztorze o bardzo ścisłej regule, więc chciała mnie tam odesłać pod nieobecność papy. Nie guzdrając się dłużej, spakowałam w chustkę drugie buty i zapasowe pończochy. Zbiegłam do kuchni, gdzie bez większego trudu podkrađłam gomółkę sera i kawałek chleba, równocześnie zagadując kucharkę i pijąc świeżo udojone, jeszcze ciepłe mleko. Z obejścia, niezauważona przez nikogo, wyszłam tak jak zwykle: przez stajnie oraz sad. Strach dodał mi skrzydeł. Przez pół dnia gnałam przed siebie bez żadnego planu. W końcu padłam na kopkę siana na ukwieconej łączce. Byłam głodna i skonana. Zjadłam swój złodziejski łup, a potem usnęłam.

Obudził mnie chłód przedświtu. W brzuchu burczało mi niemiłosiernie. Rozgrzałam się, biegnąc dalej przez las, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a na dodatek pokrywał wzgórza i dolinki, co wkrótce spowolniło moją wędrówkę. Już po godzinie wlokłam się głodna i zmęczona.

W końcu trafiłam na polną drogę, która zawiodła mnie do małego przysiółka: ot, parę rozpadających się chałup. Z komina jednej z nich snuła się cieniutka strużka dymu. Chaty otaczał sad pełen bzyzających os wgrzyzających się w spadłe papierówki. Podniosłam jabłko i schrupałam je szybko, a potem następne i kolejne. Właśnie kradłam kilka na drogę, gdy drzwi chałupki uchyliły się i ktoś wykopał z krzykiem małego czarnego psa. Kundelek przeokoziółkował, wstał, otrząsnął się, po czym ruszył w moją stronę, szczekając i warcząc na przemian. No to wpadłam w pułapkę – przemknęło mi przez głowę – zaraz ktoś mnie złapie na złodziejstwie. Niewiele myśląc, opróżniłam chustę z jabłek i bardzo powoli zaczęłam cofać się w kierunku lasu; ale psiak nie odpuszczał, szczekał coraz głośniejsze, najeżył się cały – chyba zamierzał skoczyć mi do gardła. W tym momencie ciemna postać wyłoniła się z chałupy i poczęła do nas zbliżać.

– Czarny, kogoś tam upolował, piesku? – zachrypiał męski tubalny głos. – O, dziełatka, a to nam się trafiło. Chyba dostojna panna jakaś, bo strojnie ubrana pod warstwą kurzu i liści – kontynuował mężczyzna, idąc wolnym krokiem, tak jakby podkładał się do płochy sarny.

Miałam w głowie kompletną pustkę, nie mogłam się ruszyć, a gardło wyschło mi na wiór. Potem moją wyobraźnię zalały obrazy gwałtu i przemocy, zaś nozdrza – smród potu, dymu, gówna i brudnych szmat, w które tamten był odziany. Pies odsunął się, robiąc swojemu panu przejście, a potem podkulił ogon i uciekł, zapewne obawiając się kopniaka.

– Ja tylko... – wydusiłam z siebie rozpaczliwie. – Ja chciałam... o drogę zapytać i...

– I ukraść moje jabłka – dokończył oprych, sięgając po wiszący na mojej szyi herbowy medalion z miniaturką mateczki w środku. – A teraz ja wezmę twoją własność – wychrypiał, oblizał wargi i szarpnął mocniej, urywając łańcuszek. – Panna Zebrzydowska, sama, daleko od tatusia, to mi się trafiło – wymruczał spod zarostu pokrywającego mu pół twarzy. – Chodź tu, turkaweczko, zaopiekuję się tobą jak nikt. – Zaśmiał się chrapliwie i żelaznym chwytem ścisnął moje ramię.

Ze strachu nawet nie pisnęłam, kiedy zawłókł mnie do chałupy, otworzył klapę w podłodze z gnijących desek pokrytej starą słomą i zepchnął do ciemnej dziury, która okazała się za niska, by w niej stanąć, i za mała, by się swobodnie położyć. Mogłam tylko skulić się na stercie cuchnących szmat, z każdą mijającą godziną cierpnąc coraz dotkliwiej.

Najgorsza była pierwsza doba, kiedy brzuch skręcał się z głodu, wargi skleіło pragnienie, a pęcherz w końcu się poddał. Nie wołałam o pomoc, bo i po co. Mój prześladowca gdzieś pojechał. Wcześniej słyszałam rżenie konia dochodzące zza domu. Zabrał też chyba ze sobą kundelka, bo zapanowała całkowita cisza. Wraz z upływającymi niemiłosiernie wolno w całkowitej ciemności godzinami zmysły zwodziły mnie coraz bardziej i pojawiły się majaki. Matula moja jako dobry anioł tuliła mnie do piersi niby maleńkie dziecko i zaczęłam się w tym ni to śnie, ni jawie zapadać jak w puchowej pierzynie.

Mój ciemieżca wrócił po jakichś dwóch dniach. Obudził mnie chluśnięciem wody z cebrzyka. Potem wywlekli mnie do izby – on i jakaś wiejska baba, gruba i tak brudna, że nawet mój własny smród nie mógł zabić fetoru bijącego od niej. Baba na siłę wlała mi do gardła papkę na mleku zaciągniętą mąką, a potem zdarła ze mnie uwalane ubranie, kazać oblec się w łachmany pełne łat i pcheł. Jej kompan skrepował mi ręce i nogi powrozem, wepchnął szmatę do ust, zawiązał drugą, a potem wrzucili mnie na tył drabiniastego wozu, gdzie pod sianem krył się schowek z desek służący do przemytu.

Droga wlokła się niemiłosiernie, upał dokuczał coraz bardziej, pył i drobinki siana wdzierały się do nosa, szmata dławiała, a głową wciąż obijałam się o deski mojego małego więzienia. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy, ale usłyszałam to i owo. Wprawdzie zbir mówił cicho, chyba celowo pilnując, by nic do mnie nie dotarło, za to baba od czasu do czasu rozwierała jadaczkę tak głośno, że głuchy by usłyszał. W końcu została uciszona, chyba kuksańcem, bo potem dolatywało do mnie już tylko ciche chlupanie.

Niemniej z wrzasków grubaski domyśliłam się, że interes nie poszedł po ich myśli. Tatki nadal nie było w domu, a macocha nie chciała dać ani talara, chyba że przyniosą jej moje serce wyluskane z piersi. Baba była skłonna dokonać tego niecnego czynu, ale zbójca wpadł na lepszy pomysł. Szeptał coś o bogatym, zagranicznym kupcu w Krakowie, o moim dziewictwie oraz o rzeczach, których wtedy kompletnie nie rozumiałam, ale strach mnie i tak obleciał nielichy. Baba zdaje się też miała ograniczoną wiedzę na ten temat, w końcu jednak przemówił do niej opis stada psów goniących za suką w rui. Do mnie też przemówił i gdyby nie ręce skrepowane za plecami, pewnie osobiście przegryzłabym sobie żyły.

Czego ja się głupia spodziewałam, uciekając z domu? Nawet teraz, po tylu latach, nie rozumiem swojej naiwności. Myślałam może, że pobędę w lesie ze dwa dni, a potem z Krakowa wróci tatko, wezwany przez macochę, która pchnie po niego kuriera na najlepszym koniu, i tenże kochany tatko znajdzie mnie szybciotko, przywiedzie do domu i już nigdy nie zostawi na łasce tej czarownicy, nie mówiąc o posyłaniu do klasztoru? Przeliczyłam się srodze. Nawet w najgorszych fantazjach o Ewie Katarzynie nie wyobrażałam sobie, że jest zdolna do takiej podłości. Nadal miałam iskierkę nadziei – w końcu nie utrupili mnie jeszcze, a tatko pewnie był już w drodze do domu, może nawet minęliśmy się z nim na trakcie. Na pewno przeprowadzi dokładną indagację macochy oraz służby i natychmiast rozpocznie poszukiwania.

Dopiero po kilkuset latach dowiedziałam się prawdy, grzebiąc w różnych historycznych dokumentach z tamtej epoki. Umarłam ponoć w roku pańskim 1706 w klasztorze klarysek w Krakowie jako siostra Dominika, będąc zgrzybiałą staruszką. Znalazłam też list od macochy do tej drugiej mnie z lata 1633 roku, w którym poza banalną wymianą plotek zobowiązywała Dominikę-Reginę do dotrzymania umowy i milczenia w wiadomej sprawie w imię dobra mojego, jaśnie wielmożnego pana Zebrzydowskiego oraz inszych bliskich mi osób, które ucierpieć mogłyby srodze wskutek mojego gadulstwa. Przypuszczam więc, że Dominika od dominikanek musiała być młodą chłopką, na tyle do mnie podobną, by po dwóch latach pobytu w klasztorze wszelkie różnice dało się wytłumaczyć marną dietą, zimnymi posadzkami, licznymi modlitwami i naturalnymi zmianami, które u nastoletniej panny mogą przebiegać dość gwałtownie. Posag mój podzielono pewnikiem między klasztor a jej rodzinę, co przypieczętowało milczenie zarówno chłopów, jak i przeoryszy, która nie mogła być aż tak naiwna, by pomylić nieociosaną dziewczuchę ze szlachcianką z zanego rodu. Nie wiem, czy tatko odwiedził klasztor, tak jak zapowiedziano w liście; nie znalazłam na to żadnego dowodu. Niemniej wiedza, że padł ofiarą podłych manipulacji macochy, przyniosła mi niejaką ulgę po tych wszystkich latach, gdy żalność mnie ogarniała okropna na myśl, że nie szukał jedynej córki. Wtedy jednak, tłukąc się o deski przemytniczego schowka, nadal łudziłam się i nasłuchiwałam tętentu końskich kopyt. Niestety wszystkie wozy i pojedynczy jeźdźcy mijali nas, zamieniając najwyżej „szczęść Boże” z woźnicą lub krótko rozpytując o drogę na Kalwarię.

Dojechaliśmy, gdy zapadała bezksiężycowa, czarna noc; biorąc pod uwagę zbliżające się za około dwie niedziele letnie przesilenie, musiało być koło północy. Kołysząca się przy wozie latarnia rzucała chwiejne smugi światła. Miejsce naszego postoju, spowite mrokiem, położone – jak się potem dowiedziałam – w kamieniołomie otoczonym lasem, wywarło na mnie upiorne wrażenie. O skalną

ścianę opierała się sklecona z nieociosanych sosnowych bali chata pozbawiona okien, z jedną parą drzwi i wąską izbą, która służyła za przedsionek labiryntu jaskiń.

Podczas gdy baba wywlekała mnie z wozu, zbój wyprzągł konia i owinał mu kopyta szmatami, a następnie uwiązał do palika tuż koło wejścia, dał wody w beczce i podwiązał worek z obrokiem. Potem we dwójkę zaciągnęli mnie do jaskini. Zapaliwszy pochodnie, zaryglowali okute drzwi na solidną sztabę. Dopiero wtedy przecięli więzy, tak jakbym była groźnym olbrzymem, a nie lichą dziewczuszką, głodną i wymęczoną. Czarny piesek, który milcząco znosił podróż, pojawił się u nóg swego pana i powitał nowe miejsce głośnym szczekaniem oraz merdaniem ogona; widać nieraz tu bywał i na dodatek nieraz pewnie oberwał, bo świetnie wiedział, że zanim drzwi nie zostaną zamknięte, mordy drzeć nie należy.

Upadłam w brudną słomę. Ręce i nogi wydały mi się całkiem martwe. Po chwili czucie wróciło mrowieniem, a potem bólem. Tamci czekali cierpliwie, aż się pozbieram; widać nie chciało im się wlec mnie całą drogę. Wyciągnęłam z ust knebel, tkwiący tam już tyle godzin, że stał się kawałkiem mnie, jak język i zęby. Na to zuchwalstwo także nikt nie zareagował. Baba dała mi lekkiego kopniaka, żebym się podniosła, a zbir wyciągnął w moim kierunku bukłak z wodą. Wstałam, przytrzymując się ściany, w oczach mi się ćmiło. Ciepła woda z bukłaka śmierdziała źle wyprawioną skórą, ale smakowała wybornie. Baba wyrwała mi go jednak, ledwie wypłam kilka łyków.

– Miarkuj się, mało, bo zachorzasz na wąpia – burknęła.

– Pójdziem. – Zbir ruszył, nie oglądając się na nas i zabierając ze sobą jedyną pochodnię.

Poszturchiwana przez grubaszkę, człapałam za szybko oddalającym się blaskiem, który chwilami całkiem znikał z oczu za jakimś zakrętem. Korytarz opadał coraz niżej, ze ścian spływała wilgoć, trzęsło mną niemożebnie z zimna i zmęczenia. Jaskinie były ogromnym podziemnym labiryntem, choć wydaje mi się, że częściej

skręcaliśmy w lewo niż w prawo, tak jakbyśmy chodzili w koło. W końcu, gdy przemarzłam na kość, baba, okropnie zadyszana, zatrzymała się, odgarnęła grubą materię zasłaniającą przejście. Weszliśmy do obszernej okrągłej sali, wypełnionej światłem świec i ciepłem bijącym z centralnie położonego paleniska, nad którym ziała czarna dziura wsysająca dym. Ściany pokrywały kosztowne z wyglądu gobeliny, a kamienną polepę zarzucono miękkimi skórami, w których moje bose stopy zanurzyły się z błogością. Sześcioramienne żyrandole zwisały w pięciu miejscach. Połączone sznurami monet odbijających blask płomieni, tworzyły pięcioramienną gwiazdę wpisaną w okrąg, gwiazdę Isztar, jak mi potem powiedziano. Obecnie panuje na ten znak niezrozumiała moda, wtedy był jednym z wielu alchemicznych symboli, o których dobra krześcijanka nie miała pojęcia.

Baba popchnęła mnie w kierunku murowanego paleniska, nad którym wisiał wielki kocioł z potrawką. Zapach był oszałamiający, dominowały w nim aromaty dziczyzny i ziół. Po chwili trzymałam glinianą michę i drewnianą łyżką, nie zważając na ból, pakowałam do ust zbyt gorące jedzenie. Grubaska tylko łypała na mnie, ale nie rzekła ani słowa o moich wątpiach. Dała mi za to solidny kawał ciemnego chleba.

Wokół, oprócz trzaskającego w palenisku drewna, panowała nienaturalna cisza; nasz przewodnik nie pojawiał się, nikt inny także. Pomyślałam, że może jakoś dam radę uciec, jeśli nikogo więcej tu nie ma. Może nocą stracą czujność, popiją się albo przynajmniej mocno zasną zmęczeni podróżą. Jeśli nie wydostanę się z tych jaskiń, to na pewno nikt mnie nie uratuje. Tylko jak odnaleźć drogę w labiryncie?

Te niewesołe myśli przerwało pojawienie się zakutanej postaci. Nie zauważyłam ani nie usłyszałam jej przyjścia, dopóki nie dotknęła mojego ramienia. Pusta miska spadła mi z kolan, a serce podeszło do gardła. Postać – trudno stwierdzić kobieta czy mężczyzna, dorosły czy dziecko – była niewysoka i drobnej postury, lekko przygarbiona. Twarz zasłaniały opadające luźno długie ciemne włosy oraz kawałek szmaty, tak że widziałam tylko świdrujące mnie spojrzeniem skośne czarne oczy.

Sylwetka, zniekształcona warstwami odzienia, pozszywanego chyba z różnych części garderoby i ufarbowanego na bury kolor, także nie dawała żadnych wskazówek. Miękkie skórzane buty ułatwiały bezszelestne poruszanie się, nawet w miejscach, gdzie posadzka nie była zaścielona skórą.

Baba na widok przybysza mruknęła coś pod nosem, splunęła w ogień i przeżegnała się szybko, a potem potruchtała w kierunku jednego z gobelinów, który skrywał kolejne przejście. Zniknęła w nim bez słowa, zostawiając mnie na łasce Onego, jak nazwałam w myślach stojącą obok mnie istotę.

Ono gestem nakazało mi podążyć za sobą. Przeszliśmy przez kolejny otwór, także zasłonięty gobelinem z wyszytym zieloną nicią znakiem odwróconego trójkąta z odciętym linia dolnym wierzchołkiem. Obrzeża zdobiły wizerunki nagich kobiet i kozła, które wtedy wydały mi się nie do końca zrozumiałe; zresztą nie zdążyłam się im dokładniej przyjrzeć.

Krótki niski korytarzyk rozwidlił się i jego lewa odnoga doprowadziła nas wkrótce do sali z kolejnymi wejściami, przypominającej wystrojem domowy babiniec. Na środku dymiło małe palenisko, otoczone masą siedzisk, otomanek, puf zasłanych poduchami i pledami. Widać kobiety spędzały tu wspólnie czas, choć teraz żadnej nie było. Przeszliśmy do innej sali, gdzie z dużej ustawionej na środku balii buchała para, a pod spodem żarzyły się węgle, podtrzymując temperaturę wody. Ono dało mi na migi znać, że mam się rozdziać i wykapać, co zrobiłam z prawdziwą rozkoszą. Bezpłciowość tego stworzenia była tak oczywista, że nie czułam najmniejszego skrępowania, rozbierając się przy nim, a potem pozwalając szorować w pachnącej werbeną, lawendą i rumiankiem wodzie.

Po kąpieli dostałam pucharek z miodowym napojem zaprawionym ziołami i padłszy na wskazane legowisko w jednej z licznych salek służących za sypialnie, natychmiast pogrążyłam się we śnie. Rojenia o ucieczce stały się bardzo odległe

i mgliste, ciało pragnęło tylko kojącego ciepła miękkich piernatów, a umysł odpłynięcia w majaki, których głównym sprawcą był najpewniej ów tajemniczy płyn.

Nie było mi dane dobudzić się przez wiele następnych godzin, które stały się dniami. Ono przynosiło co jakiś czas kolejne kubki dziwnych mikstur i wlewało mi je do gardła, a ja nie miałam siły się bronić. Próbowalam coś powiedzieć, ale tylko bełkotałam niezrozumiałe nawet dla mnie frazy, tak jakby obcy duch zawładnął moim językiem. Chciałam podnieść rękę, lecz choć byłam przekonana, że to robię, ona nadal spoczywała na moim brzuchu, coraz bledsza i słabsza.

W tamtym czasie majaki senne wywołane narkotycznymi napojami przeplatały się z okresami całkowitej nieświadomości i momentami, kiedy moja dusza, oddzielając się od ciała, szybowała po jaskini niby ptak. Z góry widziałam swoje mizerne ludzkie ciało, coraz bardziej bezwolne, coraz słabsze z powodu bezruchu i braku jedzenia. Nie czułam jednak głodu, nie czułam nic, oprócz dojmującego smutku, że żegnam się powoli z życiem, pomieszanego z prawie euforyczną radością płynącą z obecnej wolności. Nie wiedziałam, czy to, co widzę, jest do końca prawdziwe, choć potem okazało się, że faktycznie odwiedzane przeze mnie komnaty istniały, a nawet wyglądały podobnie. Musiałam więc wędrować bezcielesnie po tym dziwnym miejscu.

Oglądałam liczne pomieszczenia, których przeznaczenie nie zawsze było dla mnie zrozumiałe. Był tam skarbiec wypełniony najróżniejszymi bogactwami, klejnotami, złotą zastawą, bronią, której nazw nie znałam, zbrojami, gobelinami, posągami, dziwnymi trumnami w kształcie człowieka oraz mnóstwem drobiazgów o niejasnym zastosowaniu. Ale najbardziej zdziwiła mnie kolekcja złotych i srebrnych krzyży, zajmująca około jednej czwartej całej komnaty. Tak jakby ktoś splądrował sto wspaniałych świątyń.

Ze skarbca trafiłam do bogato zaopatrzonej spiżarni, w której sznury kielbas i połcie wędzonego mięsa sąsiadowały z beczułkami miodu, wina oraz piwa, gomółkami serów, bochnami chlebów, koszami owoców i warzyw, dobrze mi znanych, a także takich, których nigdy dotąd nie widziałam, workami suszonych specjałów, ziół wszelakich, a nawet wyschniętych płazów, żab, węży, różnych żuków, szarańczy i innego ohydztwa. Ktoś szykował się chyba na jakieś święto.

Jedną z większych komnat była biblioteka połączona z gabinetem i sypialnią, z której przejście wiodło do najdziwniejszego pomieszczenia, jakie odwiedziłam w swojej duchowej postaci, pełnego szklanych naczyń, alembików, kolb, menzurek, woreczków z różnymi proszkami, pudełek z maściami, metalowych narzędzi o wymyślnych kształtach, słoików z makabryczną zawartością, jak zakonserwowane ludzkie płody, martwe żaby, mózgi wyłuskane z czaszek, nie mam pojęcia, zwierzęcia czy dziecka, a także przedmiotów, których nijak nie umiałam nazwać, sklasyfikować ani zgadnąć, do czego służą. Na środku królował stół wypełniony po brzegi skomplikowaną szklaną aparaturą, a pod ścianą stał wygaszony piec. Oczywiście nie mogłam niczego wziąć do ręki, powąchać czy posmakować, ale to chyba nawet lepiej, bo gdybym podjęła się takiej próby w swojej normalnej postaci, mogłabym jej nie przeżyć.

W mojej wędrówce czasem następowały nagłe przerwy. Byłam gdzieś, a za chwilę znowu unosiłam się nad swoim ciałem lub gwałtownie zapadałam w ciemność. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, choć z drugiej strony nie było to bardziej szalone niż reszta moich doświadczeń. Nie dawało mi to jednak spokoju, do czasu aż w jednej z komnat, której mieszkanką musiała być kobieta – odkryłam mnóstwo pięknych sukien, płaszczy, butów, peruk, chust, szali, pończoch, pachnideł, czernideł, srebrnych grzebieni, puzderek, futer z dzikich zwierząt, koronek i wreszcie jedwabii – w lustrze mignęła mi zakutana postać Onego. W tym samym momencie, kiedy odwróciłam się, o ile dusze mogą to uczynić, znalazłam się na

powrót w swoim ciele. Przekonałam się potem, że działa to także w przypadku spotkania czarnego kundelka, który błąkał się po jaskini podobnie jak ja. Widać jakaś siła chroniła mnie przed odkryciem przez żywe istoty, choć sama nie byłam jeszcze martwa – raczej egzystowałam na granicy światów.

Trudno mi jednoznacznie orzec, czy te wędrówki zaplanowało dla mnie Ono, czy też były ubocznym skutkiem przygotowanych specyfików, o którym nie miało pojęcia. Obie koncepcje wydawały się prawdopodobne, nie mogłam jednak ze zrozumiałych względów wykluczyć ani potwierdzić żadnej z nich. Na rzecz celowości przemawiał fakt, iż mimo podjęcia przeze mnie kilku prób nie byłam w stanie przejść przez gobelin, za którym otwierał się korytarz labiryntu prowadzący ku wolności. Nie wiem, czy coś by mi to dało, ale imaginowałam sobie, że przynajmniej nauczę się wszystkich zakrętów, by po odzyskaniu ciała i sił zbiec z jaskini. Z drugiej strony może sam gobelin ograniczał moją wolność; symbol trójkąta rozświeślał się za każdym razem, gdy moja dusza zbliżała się do niego. Widać znak ten czynił materię nieprzenikalną dla duchów. Inne gobeliny nie stanowiły przecież dla mnie żadnej przeszkody.

Teorię tę ugruntowało jeszcze jedno zdarzenie, do którego doszło, kiedy zwiedzałam po raz drugi pomieszczenie za biblioteką. Miejsce to przyciągało mnie i odpychało równocześnie. Często kręciłam się po samej bibliotece, ale bałam się przekroczyć tamte drzwi – jedyne w całej tej pieczarze ze snów; ani skarbiec z licznymi precjozami, ani biblioteka pełna cennych woluminów, wartych kilka wsi każdy, nie były tak chronione jak owo pomieszczenie. Krążąc po nim po raz drugi, zauważyłam, że jeden z kredensów wypełnionych makabrycznymi słojami jest lekko odchylony od ściany. Wędrówka pod postacią duszy miała jeszcze jedną zaletę: nie potrzebowałam światła, by wszystko widzieć, mimo najczarniejszych ciemności. Zajrzałam więc w szczelinę i zobaczyłam korytarz. Już miałam się do niego wślizgnąć, kiedy tuż przede mną rozbrzysnął taki sam znak jak na gobelinie

prowadzącym do labiryntu. Wisiał po prostu w powietrzu, a jednak zatrzymał mnie skutecznie, czego nie sprawiły wcześniej masywne dębowe drzwi. A więc nadal byłam w pułapce.

Pomyślałam także o tym, że skoro przenikam przez materię gobelinów, a nawet przez solidne drewno, to może udałoby mi się przedostać na wskroś przez wszystkie warstwy skały nade mną i pokrażyć nad okolicą, by lepiej zorientować się w położeniu tego miejsca. Szybko okazało się, że jest to niemożliwe. Kiedy próbowałam wejść w ścianę, ta odpychała mnie od siebie. Później, po bliższym zbadaniu, odkryłam, że ściany, sufit i podłoga pokryte są bardzo drobną siateczką szarych nitek, podobną do pajęczej sieci, która miast łapać, odrzucała intruza. Widać i tu użyto jakiejś magii, może słabszej niż przy wyjściach, ale przez swoje zagęszczenie równie skutecznej. Jednym słowem tkwiłam jak owad w sieci i nawet „duszna” wolność na niewiele się zdała – mogłam tylko słabnąć z dnia na dzień, czekając na lekką śmierć lub inne, dużo gorsze rzeczy, o których wołałam nie myśleć.

Nawiedzające mnie majaki senne nie były zbytnio urozmaicone; głównie jawiły mi się lata wczesnego dzieciństwa, beztroskie dni pełne słońca i matczynej troski. Mateczka bowiem, nie bacząc na swoje pochodzenie oraz pozycję, sama się nami zajmowała, troszczyła o nasze dobro, zapewniała wygody, pomagała nam, a nade wszystko kochała nas całym sercem, przeto spędzała z nami każdą wolną chwilę. Owszem, mieliśmy służbę, mamki i niańki, ale to ona budziła mnie rano, a wieczorem kołysała do snu. Pograżałam się więc w tych rojeniach bez lęku, nawet tęskniłam za nimi, krążąc bezcieleśnie po jaskini. Zdawałam sobie sprawę, że to ułuda, rodzaj pułapki, bo nic nie wróci mi kochającej matki i czasu, który mogłabym z nią spędzić, gdyby nie umarła przedwcześnie. Brakowało mi jednak jej przez całe życie i gdybym miała opisać raj, tak by właśnie wyglądał.

Któregoś dnia moje sny zmieniły się: zamiast anielskiej twarzy mamy ujrzałam zimne oblicze macochy, która przyglądała mi się z daleka, taksując wzrokiem, jakby

oceniała, czy się nadaje. Nie miałam jednak pojęcia, do czego mam się nadać. Pod wpływem tego spojrzenia lęk zakradł się do mego serca i ścisnął je niczym wąż ofiarę. Z całej siły pragnęłam się obudzić, ale daremnie; więc musiałam dalej wpatrywać się w oczy macochy, które stopniowo stawały się oczami całkiem innej, obcej mi kobiety. Trwało to bardzo długo, a ja umierałam z przerażenia sianego w moim umyśle przez wrogą obecność, sondującą pragnienia, lęki, tajemnice i uczucia; wreszcie kobieta mrugnęła, tym samym uwalniając mnie z uwięzi spojrzenia. Dostrzegałam wtedy, że jej twarz nie jest obliczem macochy, ale istoty pięknej w sposób zapierający dech, a równocześnie złej i ponurej. Kobieta mrugnęła po raz drugi i zniknęła z mojej głowy, a ja złana potem obudziłam się tym razem na dobre.

Z oddali dobiegał melodyjny głos, ale słowa były dla mnie tylko obco brzmiącymi dźwiękami; nigdy dotąd nie słyszałam takiego języka. Po chwili, wypełnionej narastającym niepokojem i daremnymi próbami podniesienia się choćby na tyle, by zobaczyć wejście do mojej komnatki, opadłam z rezygnacją na przemoczoną pościel, ciężko dysząc. Zamknęłam oczy. Postanowiłam czekać, gdyż i tak nie mogłam uczynić nic więcej. Kiedy je otworzyłam, nade mną, ciche niby cień, stało Ono.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

Agnieszka Hałas: Po stronie mroku

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieży zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

Struny czasu opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*.

Joanna Łukowska: Pierwsza z rodu: Znajda

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Dariusz Kankowski: Płacz przodków

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych

czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciemniezeni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszechrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc?

To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantasy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

Andrzej W. Sawicki: Kolce w kwiatach

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach obleżonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmienicy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć. Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Dariusz Kankowski: Tęsknota

Zbiór dziewięciu zróżnicowanych stylistycznie i tematycznie opowiadań połączonych wspólnym motywem. Autor zabiera nas w podróż przez czasy i światy, skłania do refleksji nad naturą tęsknoty i jej implikacjami. Zbiór tworzy całość poprzez system subtelnych powiązań, odniesień, wątków – mitologicznych, baśniowych, historycznych, literackich – z przeplatającym się motywem Pięknej i Bestii, osadzonym w realiach XXI wieku.

Marian Kowalski: Mroczne dziedzictwo

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym teraźniejszością, nieczującym związku z rodziną i jej historią. Irena to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posązek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanki – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy.

W powieści przewija się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich. W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych a niejasnych zgonów w teraźniejszości. Wiele tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. „Mroczne dziedzictwo” to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Maciej Żytowiecki: Mój prywatny demon

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.